Kraków, 28-go Marca 1908 r.

Rok 4. Nr. 7.

Dzwonek.

Gazetka dla dzieci.

Dodatek do Nr. 13 „Prawdy.“

JAN Z KOLNA.

Przez Teresę Jadwigę.

(Ciąg dalszy).

Słowa niewinnej dzieciny spędziły chmury z czoła biednego ojca, łzy zabłysły w jego oczach i rzekł z wzruszeniem:

— Niechaj mu Pan Bóg Wszechmocny błogosławi w jego zamysłach!

To powiedziawszy, uściskał córkę, a zwróciwszy się do wyrostka, stojącego wciąż jeszcze we drzwiach, rzekł mu, aby zasiadł razem z nimi do stołu. A gdy matka zastawiła przed nimi polewkę, ojciec zaczął wyrostka wypytywać o syna.

Obcy ów nie wiele mógł objaśnić. Wiedział tylko tyle, iż odważny chłopiec miał się udać prosto do Gdańska. Dokądby zaś potem, czy do Danii, czy do innego zamorskiego kraju, zamierzył ruszać, o tem nic nie wie, bo i sam Janek o tem nie wiedział, a dopiero miał się dowiedzieć w Gdańsku.

Mówił też, że ów szyper musiał o wszystkiem wiedzieć, bo on to z Jankiem wciąż na uboczu radził i snadź go do tej drogi namówił. On też obiecał Janka żywić przez drogę aż do samego Gdańska, gdzie dopiero miał się sam starać o siebie.

— Jeżeli tak — rzekł ojciec. — to niema co się bardzo kłopotać. Janek sam sobie w Gdańsku bez pie-

między i znajomych rady nie da i będzie musiał powrócić do domu.

— Oby tak się stało! — rzekła matka — Ale się nacierpi biedy po drodze.

— Nic mu się nie stanie, a dobrze, że kawał świata zobaczy.

— Dajże Boże, aby rychło wrócił! — szepnęła matka.

Dzieci, słysząc rodziców tak mówiących odzyskały wesołość. Po śniadaniu obcy, podziękowawszy za gościnę, skłonił się i wyszedł.

Zrazu wesoło było w domu rodziców Janka.

Prawie każdego dnia spodziewano się, że wróci, a jednak tydzień za tygodniem, a miesiąc za miesiącem schodził, a słychać o nim nie było. Ojciec wywiadywał się u ludzi, przybywających z Gdańska, wypytywał ich o syna, ale nikt mu o nim wiadomości dać nie mógł. Gdzież tam kto w takiem mieście ogromnem, gdzie tysiące obcych ludzi z całego zjeżdżają się świata, mógł zauważyć młodego chłopca!

W rok dopiero potem przybiegł jednego dnia wyrostek, który doniósł niegdyś rodzicom o podróży Janka, i zawiadomił ich, że szyper, z którym ich syn poszedł do Gdańska, jest w mieście.

Pospieszył co żywo ojciec, zobaczył się z owym człowiekiem w jednej gospodzie, ale tyle się tylko dowiedział o Janku, że w miesiąc po przybyciu do Gdańska, chłopiec przyszedł pożegnać się z nim i powiedział, że dostał miejsce na okręcie; na jakim jednak, na duńskim, czy norweskim, tego sobie szyper przypomnieć nie mógł.

Wrócił ojciec do domu wielce strapiony, a i przed żoną smutku swojego ukryć długo nie mógł. Ile się matka napłakała, nie trzeba mówić, gdyż uważała syna jako za straconego; płakały siostry, chociaż nie tak bardzo, jak matka, bo też straty nie pojmowały jeszcze.

Smutek zagościł na dobre w domu biednych ludzi. Ojciec sobie nie mógł wybaczyć, że tak łatwo dał mu pozwolenie na ową drogę. Matka obwiniała go w duszy, ale słówkiem jednem nawet poznać nie dała.

Jedyną pociechą strapionej rodziny bywała rozmowa o Janku i nadzieja, że Bóg go kiedyś powróci. Wszyscy też codziennie przy rannym i wieczornym pacierzu o to Pana Boga prosili.

Tak upłynęło lat kilka w smutku, ale też i nie bez nadziei, że kiedyś będzie weselej. Rodzice podstarzeli się, dzieci popodrastały, a o Janku słychać nie było: powoli zaczęli nawet tracić nadzieję, czy go kiedykolwiek jeszcze zobaczą.

Nakoniec nadszedł rok 1474, pamiętny srogą zimą. Na Wszystkich Świętych chwyciły mrozy, ale już i Wigilia Bożego narodzenia nadeszła, a ani na chwilę nie sfolgowało; ani jednej odwilży, owszem, zdawało się, że codzień zima większej nabiera mocy.

Rodzina Jankowa nie wychylała się z domu; dokładano tylko wciąż drzewa do pieca, otykano starannie drzwi i okna, a i tak jeszcze mróz srodze dokuczał.

W wigilię N Panny Gromnicznej srożył się mróz bardzo silny; wieczorem całe kółko rodzinne, zajęte pracą, obsiadło stół w pobliżu pieca; nagle ktoś zakołatał silnie do drzwi. Wybiegła starsza dziewczynka zobaczyć, kto to taki, i wróciła wnet, mówiąc, że jakiś obcy, przeziębły prosi o gościnę.

Zerwał się natychmiast ojciec i poszedł do sieni, aby wprowadzić przybyłego. Po chwili wrócił, a z nim razem wszedł podróżny, otulony ciemnym płaszczem, z nasuniętą głęboko kapicą na czoło.

Wszyscy zwrócili z ciekawością wzrok na przybyłego.

Podróżny stał przez chwilę nieruchomy; nakoniec drżąc od wielkiego wzruszenia, zaledwie zdołał szarpnięciem zrzucić płaszcz i kaptur, a potem, przypadłszy do nóg starego, zawołał:

— Panie ojcze, to ja!

— Janek! Janek! — krzyknęli wszyscy, otaczając klęczącego.

Przez chwilę słychać było tylko rzewne łkania i jakieś niezrozumiałe słowa. Matka, acz najbardziej wzruszona, pierwsza oderwała się od syna, ażeby mu podać posiłek. Ojciec poprowadził go za stół, posadził obok siebie, o pomiędzy resztą rodzeństwa o mało spór nie wybuchnął, bo

każde chciało usiąść najbliżej brata, odzyskanego jakby cudownem zrządzeniem i od tak dawna straconego.

Gdy matka zastawiła wieczerzę i wszyscy ochłonęli z pierwszego wzruszenia, rzekł ojciec:

— No, mój synu, opowiedzże nam teraz, gdzie byłeś i coś uczynił.

— Niechże się wprzódy pokrzepi — przerwała matka; — biedactwo takie zdrożone, jeszcze się nie ogrzał, a ty mu każesz opowiadać.

— Ale jak Jaś wyrósł! Toć on wyższy od tatusia — mówiła najmłodsza siostra.

— Wszystko opowiem, najmilsi rodzice. Zmęczenia i trudu nie czuję, skoro was widzę.

I zaczął znowu całować ręce ojca i matki i ściskać rodzeństwo.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

WIOSNA.

Książe zimy, siedząc na górze, spoglądał w doliny.

Wiedział, że niezadługo musi się zjawić wiosna i bojaźliwie jej wyglądał. Ale nie widać było nic innego, tylko śnieg, śnieg, i jeszcze śnieg. Aż wreszcie zima zaczęła przypuszczać, że młodziutka wiosna boi się przybyć.

Roześmiała sie szyderczo i kazała swoim burzom szaleć wokoło gór. Więc gwałtownie rzuciły się ponad wzgórza, druzgotały wielkie drzewa w lasach i łamały w kawałki lód na rzekach. Pędziły przed sobą kry lodowe, ciskały je poprzez doliny i burzyły wody, pokrywając je pianą.

— Dobrze, dobrze! — mówiła zima — tylko powoli, łagodniej, dzieci!

Książę zimy zerwał się z miejsca i spoglądał w dal, ręką przysłaniając powieki.

Tam, nisko, w dolinie, stał książę wiosny, młody i smukły, w zielonej szacie, z lutnią przewieszoną przez ramię. Wiatr rozwiewał długie jego włosy, twarz miał okrągłą i delikatną, usta wiecznie uśmiechnięte, oczy marzące, wilgotne.

— Zawcześnie przybywasz! — zawołała zima.

Ale wiosna skłoniła się głęboko i odpowiedziała:

— Przybywam wedle umowy

— Przybywasz zawcześnie! — ponownie zawołała zima. — Nie skończyłam jeszcze. Mam tysiące worków pełnych śniegu, a burze mo'e są równie silnie i gwałtowne, jak bywały w styczniu.

— To już twoja rzecz. Mnie to nie obchodzi bynajmniej — odpowiedziała wiosna ze spokojem. — Twój czas już minął, zaczyna się moje panowanie. Odejdź spokojnie w swoje góry.

Ale zima złożyła pokornie swe silne, uwłosione ręce i trwożliwie spojrzała na wiosnę.

— Darui mi trochę czasu! — prosiła. — Błagam cię pokornie o małą bodaj zwłokę. Daj mi miesiąc... tydzień... darui mi bodaj marne trzy dni!

Wiosna nie odpowiadała, lecz spoglądała na dolinę jakby nie słysząc tych słów. Poczym odwiązała zieloną jedwabną wstęgę, na której trzymała lutnię.

A książę zimy tupał po górach, aż drżały, i łamał ręce w potężnym gniewie.

— Precz! Wracaj tam, skądeś przyszedł — wołał. — W przeciwnym razie zarzucę cię śniegiem i pogrzebię tak głęboko, że nigdy nie wydostaniesz się z doliny. Spuszczę moje zawieruchy, a twoje łagodne tony zginą w ich huku. Spiew zamarznie ci w gardle. Gdziekolwiek pójdziesz, dokąd się udasz, ruszę w twoje ślady. Wszystko, co powołasz do życia w dzień, uśmiercę w nocy.

Wiosna uniosła głowę i stąpnęła w dolinę. Uderzyła mocniej w struny lutni, a wszystkie drzewa w lesie pochyliły się, by nasłuchiwać. Ziemia westchnęła pod śniegiem, fale rzeki zatrzymały się, słuchając, i wtórowały śpiewowi, dążąc ku morzu. Nawet zima na chwilę powstrzymała swój gniew i słuchała także.

Próżne twoje błaganie i próżne gróźb gońce,
Z za chmur dotąd ponurych jasne przejrzy słońce.

Długie, uroczyste, a silne tony rozbrzmiewały po dolinie. Ze wszystkich wzgórzy i gór odpowiadało im echo.

A zima potrząsnęła swemi zaciśniętemi rękami, uniosła je ku niebu i zawołała, jak mogła najgłośniej:

— Naprzód, silne zawieje! Naprzód, naprzód! Zerwijcie się nad dolinami i zburzcie wszystko! Ruszajcie ponad wzgórza i zdruzgoczcie każde drzewo w lesie!

Zerwała się zawieja i spadły śniegi. Straszna to była zawierucha. Drzewa łamały się, trzeszczały i padały, rzeka wyszła z brzegów, piana bałwanów pryskała aż do nieba, potężne śnieżne lawiny spadały z urwisk.

Ale wiosna spokojnie kroczyła po dolinie i śpiewała głosem coraz pełniejszym, coraz silniejszym.

— Odważniej, prędzej do dzieła! — krzyczała zima. — Hucz, burzo! padaj, śniegu! lej, deszczu! smagaj gradzie!

I burza wyła coraz głośniej, a śnieg padał coraz gęściej. Ciemność zapanowała taka wielka, jak gdyby słońce, księżyc i wszystkie gwiazdy zagasły. Olbrzymie bryły skał staczały się w doliny, góry drżały w swych posadach i pękały z trzaskiem. Zdawało się, że koniec świata nastał.

(Ciąg dalszy nastąpi).

W POLU.

Pójdziemy w pole, w ranny czas;
— Młode traweczki, witam was!
Młode traweczki zielone,
Poranną rosą zroszone.

Długoście spały twardym snem,
Pod białym śnieżkiem, w polu tem;
Teraz główeczki wznosicie,
Bo przyszło słońce i życie.

Złodziej szuka służby.

Pan posłyszał o północy łoskot w piecu i wkrótce ujrzał jak usuwają się cegły, a przez dziurę widać głowę złodzieja. Co ty tu chcesz, hultaju? krzyknie pan. Przyszedłem się dowiedzieć, odpowie złodziej, czy pan niepotrzebuje służącego.

Kłamstwo ukarane.

Terka była pracowita i grzeczna dziewczyna, ale miała jedną okropną wadę, za którą wszyscy ją lubić przestawali, kto tylko dłużej z nią pobył. Oto kłamała. Ach moje dzieci, nic to nie może być gorszego, kiedy kto takiego nałogu nabierze. Pomyślcie sobie takie dziecko, co jeżeli o czemś mówi, to słuchający nie wie czy tak na prawdę było i nie może jemu wierzyć. Z Terką właśnie tak było. Nikt już nie chciał się z nią zadawać, ani dzieci, ani starsi, bo co powiedziała to zawsze coś zmyśliła. Jeżeli zrobiła jaką szkodę to nigdy nie chciała się przyznać, zjadła co pokryjomu, to też mówiła że kot złasował, albo inne dzieci, ale nie ona. To już był bardzo wielki grzech, bo nie tylko kłamstwo, ale zrzucanie winy na innych. Matka Terki aż płakała nad nią, bo mówiła, że wyrośnie z niej zła i niegodziwa kobieta, która sobie nigdzie chleba nie zarobi i przyjaciół nie znajdzie z taką wadą. A przy tem Bóg jej pewnie błogosławić nie będzie w życiu, jeżeli go będzie ciągle obrażać. Już i do spowiedzi Terka chodziła i nic się nie poprawiła.

Aż ojciec powiedział do matki:

„Trzeba ją tak ukarać żeby pamiętała, jeżeli ona zmyśla, to nie trzeba jej w niczem wierzyć i co poprosi robić na odwrót.“ I tak się umówili ze wszystkiemi domownikami.

Przychodzi Terka zrana do śniadania: „Mamuniu, prosi, jeść mi daj!“ a matka zaraz miskę sprząta i mówi: „Oho, kiedy Terka prosi jeść, to znaczy, że niegłodna, bo ona zawsze kłamie.“

„Nie Mamuniu, ja głodna“, prosi Terka.

„Ej kto by tam tobie wierzył“.

Chce Terka pójść do dzieci, na zabawę, Mama ją zaraz do składziku zamyka, prosi żeby do kościoła zabrali, zostawują w domu. Mówi, że jej gorąco, niosą jej kożuch, narzeka że zimno, wypędzają z chaty do sionek i ciągle powtarzają, że tak muszą robić, bo Terka zawsze nieprawdę mówi, więc nie mogą jej wierzyć.

Na dobitkę rozbolały Terkę zęby. Płacze, krzyczy, prosi Mamę o lekarstwo, a Mama choć jej było żal, że się dziewczyna tak męczy, ale powiada, że i to może Terka udaje i nic jej nie chce pomódz. Dopiero jak Terka zaczęła z wielkim żalem przyrzekać, że nigdy tak brzydko postępować nie będzie i zawsze prawdę będzie mówiła, Mama wzięła z flaszeczki wódki nalanej na korzenie ajeru, dała jej kilka kropel do wody, żeby zęby popłukać i to jej ulżyło. Od tego czasu odzwyczaiła się Terka kłamać, a kiedy czasami zaczynała coś po swojemu, to zaraz ktoś krzyczał: Terka a czy nie bolą zęby? I ona sobie przypomniała, co to było i zaraz wstrzymywała się od kłamstwa. Kiedy była starsza, zrozumiała, że człowiek, który za młodu zmyśla, potem może się stać zupełnie nieuczciwym, złodziejem, krzywdzicielem, nauczy się oszukiwać, fałszywie przysięgać i stanie się Bogu i ludziom obrzydły i szkodliwy, a taki niewarto żeby chodził po świecie bożym.

Dwie złotówki.

Pan dał chłopcu złoty na ocet, złoty na oliwę. Chłopiec poszedł ale zaraz wrócił. Przyniosłeś co ci kazałem? pyta pan. Nie, odpowie chłopiec. — A czemu? pyta pan. Bo mi się złotówki pomieszały i nie wiem która na ocet, a która na oliwę.

ZAGADKA.

Bardzo natrętna
Niemile bzyka,
W lecie dokucza
A w zimie znika.

Choć nieproszona,
Na nosku siada,
A czasem nawet
I w zupkę wpada.

Rozwiązanie zagadki z nr. 4 „Dzwonka“:

SŁOWIK. — SŁOIK.